

Niebezpieczna rusałka

19 stycznia 2011

Paweł szedł przez las. Pękał z dumy, bo ciotka Klementyna powierzyła mu zrobienie zakupów, chociaż miał dopiero sześć lat. Ciotka była kuzynką jego matki i mieszkała w domku pod lasem. Matka, zapracowana lekarka prywatnej kliniki, co roku wysyłała go do niej na miesiąc wakacji, potem jechał do ojca do Francji, aż w końcu leciał z matką i jej aktualnym narzeczoną na dwa tygodnie do jakiegoś egzotycznego kraju. Rodzice rozstali się, gdy miał pół roku, więc fakt, że widywał ojca średnio dwa razy w roku nie wydawał mu się dziwny.

Najbardziej lubił pobyt u ciotki Klementyny, która nie miała własnych dzieci i sama prowadziła swoje gospodarstwo. U niej każdy dzień był świętem i wszystko nabierało sensu. Pamiętaj, Pawełku, mawiała ciotka, że nie ma rzeczy nieważnych, inaczej nie trzeba by ich było robić. Dlatego teraz był taki dumny, że wysłała go samego do sklepu odległego o dobre trzy kilometry i to idąc na skróty! Teraz maszerował raźnie skrajem lasu z siatką i pieniędzmi w kieszeni. Co chwila zerkał ciekawie w lewo, gdzie za płytkim rowem rosła gęsto poszyta dąbrowa. Ciotka już dawno zabroniła mu wchodzić do tej części lasu, bo znajdowało się tam bagno, w którym utonęło wiele osób. Z miejscowych rzadko kto się tam zapuszczał. Paweł dojrzał ze swej ścieżki skrawek spokojnej toni, w której odbijał się błękit nieba. Leżała tam kłoda dawno powalonego drzewa, częściowo zanurzona w wodzie. Paweł poczuł nieprzepartą ochotę, by na niej usiąść i odpocząć, zanurzając ręce w chłodnej wodzie. Ależ upał! Wiedział jednak, że ciotka byłaby niezadowolona. Mężnie zwańczył pokusę i poszedł dalej. Po jakichś stu metrach zdziwił się, co go przed chwilą naszło. Na dworze było ciepło, ale wcale nie gorąco. Miły wietrzyk chłodził twarz, słowem – wymarzona pogoda! Pokręcił głową i spojrzał na zegarek, który dostał w tym roku na gwiazdkę. Zdumiał się, że upłynęły już dwie godziny, odkąd wyruszył, a

przecież był dopiero w połowie drogi! Przyspieszył kroku i już wkrótce w oddali ukazała mu się wieża kościółka i pierwsze dachy domów. Zakupy zrobił szybko, chwilkę pogawędził z ekspedientką, potem z kowalem Bystroniem, którego bardzo lubił. Zajrzał też na plebanię, by przekazać gospodyni księdza Jankowskiego buteleczkę z syropem własnej roboty na kaszel. Gospośia wzięła syrop i nawet go nie pytając, postawiła przed nim talerz z ziemniakami, wielkim kotлетem schabowym i miską mizerii. Powiedziała, że wszystko ma zniknąć z talerza, ale nie miał z tym problemu, bo był głodny jak wilk. W końcu najedzony podziękował szarmancko gospodyni i ruszył w drogę powrotną.

Szedł raźnie, wymachując torbą z zakupami. Ptaki śpiewały, w trawie cykały świerszcze, białe jak śnieg obłoczki pomykały po lazurowym niebie. Tak doszedł do prześwitu między drzewami w „zakazanym” lesie, za którym widać było kawałek jeziora, pod którym kryło się bagno. Przystanął, bo miejsce to było wyjątkowo piękne. Postanowił chwilkę odpocząć na starym pniu, choć czuł lekkie wyrzuty sumienia. Pokusa okazała się silniejsza.

Płoczył zakupy obok pniaka, a sam przykucnął nad wodą. Niebo, obłoki i drzewa odbijały się w jej niezmaconej toni. Dostrzegł małe rybki uwijające się przy kamieniach i fantazyjnie powykręcany korzeniu. Pod wodą życie toczyło się równie bujnie, jak na ziemi. Jego uwagę przykuł mały rozbłysk, gdy słońce oświeciło coś pod wodą. Patrzył pod różnym kątem, ale nie mógł dojrzeć, co skrywa się pod zatopionym korzeniem. Opanowała go straszna ciekawość, podsycana przez wyobraźnię podsuwającą mu widoki dawno zaginionych skarbów – złotych monet, klejnotów lub wysadzanej nimi broni. Skąd by się to miało wziąć w leśnym jeziorze, o tym już nie pomyślał. Położył się płasko na brzegu i jeszcze raz spojrzął w głąb. Wyglądało na to, że woda nie jest tu głęboka, ale mógł się mylić, bo była bardzo czysta. To, co wyglądało na oddalone na nie więcej niż pół metra, mogło się w rzeczywistości znajdować dużo

głębiej.

O, znów błysnęło! Paweł nie był pewien, czy to moneta, czy jakiś medalion. Pomyślał, że gdyby udało mu się go wyłowić, miałby wspaniały prezent dla ciotki. Rozejrzał się wokół w poszukiwaniu jakiegoś kija, ale nie było nic prócz trawy i starego pnia. Wyciągnął więc rękę i w tym momencie coś plusnęło gwałtownie, opryskując go fontanną wody! Przestraszony cofnął się i ujrzał kołyszącą się na zmaczonej wodzie szyszkę. Spojrzał w górę i zobaczył wiewiórkę wpatrującą się w niego z pobliskiego drzewa, którego gałęzie zwisały nad jeziorkiem. Wiewiórka siedziała z przekrzywionym łebkiem i przyglądała mu się z uwagą. Chłopak uśmiechnął się do niej, a ona fiknęła kozła i stanęła słupka na grubej gałęzi.

– Ależ mnie przestraszyłaś!

Wiewiórka wyglądała tak, jakby za chwilę miała mu coś odpowiedzieć, ale oczywiście nic nie usłyszał. Schylił się więc ponownie i zanurzył dłoń w wodzie. Tym razem posypał się na niego prawdziwy grad szyszek i łupin. Zezłoszczony Paweł wstał, by przepędzić żartownisię, ale nie miał szans wdrapać się tak wysoko jak ona.

– Jesteś niegrzeczna! – zawołał do niej, a ona pokręciła łebkiem, jakby się czemuś dziwiła lub z nim nie zgadzała. Znów wywinęła kozła i cisnęła w niego szyszką.

– No dobra, zrozumiałem. To jest twój teren i nie chcesz, żeby ktoś ci się tu plątał. Zgadłem?

Wiewiórka znów pokręciła łebkiem i zwinnie wdrapała się wyżej. Za chwilę wyjrzała zza masy liści i Pawłowi dopiero teraz przyszło na myśl, że przecież szyszki nie rosną na klonie, więc skąd wiewiórka ich tyle wzięła? A w ogóle to robiło się tu jakoś nieprzyjemnie. Może dlatego, że słońce zaszło za chmurę. Poczuł dziwne uczucie w żołądku. Skronie mu pulsowały i szumiało w uszach. Całe ciało opanował zupełnie irracjonalny

strach, choć przecież nic się nie stało. Chłopiec aż zmartwiał i nie mógł się ruszyć. Nogi miał jak z ołowiu, głowa mu ciążyła. Strach rozpełzał się po każdej tkance, w myślach tłukło mu się tylko jedno słowo: uciekać! Mimo to nadal stał jak słup soli. Po chwili jego uszu dobiegł z pobliskich krzewów cichutki szelest. Jakby coś powoli, ale nieubłagane starało się do niego zbliżyć. Tak, by go nie przestraszyć. By nie zdążył odejść. Coś koniecznie chciało zawrzeć z nim znajomość. Coś śliskiego. Dużego. Śliniącego się. Coś straszliwego.

Kolejna szyszka spadła mu prosto na głowę i wyrwała z dziwnego transu. Rozejrzał się oszołomiony, ale nic nie wypełzło z krzaków. Natomiast ze zdumieniem stwierdził, że słońce chyliło się już ku zachodowi. Ależ zamarudził! Ciotka na pewno już się o niego niepokoi! Złapał torbę z zakupami i pobiegł do domu. Nie, żeby się bał, zresztą nie było czego. Szelest mogło spowodować jakieś zwierzątko, choćby ta wiewiórka. Albo wiatr. Albo upiór, podpowiedziało mu coś w myślach.

Ochłonał dopiero po dłuższym czasie. Wystraszył się jak dzieciak, a przecież skończył już sześć lat i miał iść do pierwszej klasy. Dobrze, że nikt tego nie widział! Ciotka stoi w progu domu, widocznie go wyglądała. Paweł przeprosił za spóźnienie i opowiedział, jak spędził dzień. Nie pominął nawet wiewiórki, tylko zmienił nieco miejsce jej spotkania, bo wstyd mu było się przyznać, że złamał słowo i wszedł na teren zakazany. Co prawda nie więcej niż na dziesięć – piętnaście metrów, ale jednak. Ciotka w tym czasie szykowała kolację, a on umył ręce i wypakował zakupy. Po kolacji, jak co wieczór, Paweł usiadł z ciotką na werandzie, wypatrując pierwszych gwiazd.

– Ciociu – zaczął ostrożnie Paweł – opowiedz mi jeszcze raz o tym bagnie.

– A co, zachciało ci się historii o duchach? – uśmiechnęła się ciotka, nieco zdziwiona pytaniem.

– To tam są duchy? – teraz zdziwił się Paweł.

– No, jeśli utonęli w nim ludzie, to i duchy powinny być, prawda? – zażartowała.

– Chyba tak. Więc tam straszy?

– Można tak powiedzieć. Nikt jednak nie wie tego na pewno, bo nie znajdzie się śmiałek, który by tam poszedł po zmierzchu. W dzień zresztą też jest niebezpiecznie, ale duchy się wtedy rzadziej pokazują.

– A ile osób tam zginęło?

– Dokładnie nie wiadomo. Z naszej wioski i najbliższej okolicy mówi się o dziewięciu osobach, ale co do czterech są wątpliwości.

– Jak to?

– Widzisz, ci ludzie zaginęli. Dopiero po jakimś czasie, gdy bagno zmarzło, znaleziono ich szczątki lub rzeczy do nich należące. Dlatego z całą pewnością wiemy, że te pięć osób pochłonęło bagno. Po czterech innych całkiem ślad zaginął, co nie znaczy że też się utopili. Mogli wyjechać, zacząć nowe życie i nawet umrzeć z dala od rodzinnego domu.

– To by chyba znaczyło, że udało im się przedostać przez bagno?

– Możliwe. Ale jak dotąd nikt nie wrócił, żeby się tym pochwalić. Poza tym może nie poszli przez bagno. Widziano ich w tamtej okolicy, ale przecież nikt nie sprawdzał, czy weszli na teren moczarów.

– Od dawna macie to bagno?

– Jeśli nie od zawsze, to niewiele krócej – uśmiechnęła się ciotka. – Moi dziadkowie też opowiadali takie historie o ludziach, którzy tam zaginęli. A przedtem ich dziadkowie.

Tylko, że oni dodawali do swoich opowieści różne złe duchy, które jakoby celowo zwodziły podróżnych i sprowadzały ich na manowce, by potem utopić w bagnie. Często wabiły podróżnych jakąś błyskotką leżącą pod wodą, by zaraz potem wciągnąć nieszczęśnika i utopić.

– Opowiedz mi taką historię, ciociu! – zapalił się Paweł, choć błyskotka w wodzie przypomniała mu niedawne przeżycia.

– Niezbyt dobrze je pamiętam. W jednej był to duch zmarłego, który zginął gwałtowną śmiercią. W innej upiór, utopiec, wodnik albo rusałka. Te ostatnie, zwykle pod postacią pięknych kobiet, zwabiały mężczyzn prosto na bagna, gdzie się nieszczęśnicy topili. I do tego sprowadza się sedno wszystkich tych historii. Jak sam widzisz, nie ma co opowiadać.

– Co to znaczy, że ktoś zginął gwałtowną śmiercią?

– To znaczy, że nie była to śmierć naturalna, jak na przykład ze starości czy w wyniku choroby. Został zabity lub popełnił samobójstwo.

– Acha. A ten wodnik i utopiec to co?

– To takie demony słowiańskie. Utopcem stawał się ktoś utopiony i po śmierci starał się, żeby żywych spotkał ten sam los. A wodnik wciągał kąpiących się lub pijących wodę z rzeki czy jeziora. Czasem ich zabijał, a czasem czegoś żądał. Kazał sobie nawet przyprowadzać dziecko ofiary jako zakładnika. Większość tych legend mówi o istotach nadprzyrodzonych związanych z wodą lub duchach osób, które zginęły w okolicy wody i teraz są skazane na wieczną tułaczkę, więc mszczą się na żywych.

– A za co się mszczą?

– Hm... Właściwie to nie wiem. Może po prostu zazdroszczą innym życia i dlatego próbują ich zabić?

– To bardzo nieładnie komuś zazdrościć.

– Masz rację. Jeśli się jednak zastanowić, to życie jest rzeczywiście najcenniejszą wartością i gdy taki duch widzi, co na zawsze utracił... Kto wie, czy nawet szlachetny człowiek by w końcu nie pozazdrościł...

– Taki człowiek poszedłby do nieba, a nie błąkał się jako duch
– zawyrokował Paweł.

Ciotka wybuchnęła śmiechem.

– Widzisz, jesteś mądrzejszy ode mnie! Oczywiście, masz rację. Ale na dziś już wystarczy historii o duchach. Marsz do łóżka!

Nazajutrz Paweł całe przedpołudnie zbierał z ciotką maliny i bób. Po obiedzie mógł się iść bawić. W sadzie nudziło mu się trochę, w ogóle najbliższą okolicę znał jak własną kieszeń. Zdecydowanie wolałby się zapuścić gdzieś dalej. W końcu poszedł w stronę lasu za polem ciotki, żeby sprawdzić, czy nie pokazały się już kurki. Byłaby pyszna kolacja!

Szedł zamyślony, nie zwracając uwagi na okolicę. Tymczasem podświadomie tak manewrował, że ani się spostrzegł, jak trafił w pobliże polanki z leśnym jeziorkiem i bagnem. Znów poczuł nieprzepartą ochotę, by zajrzeć do wody i sprawdzić, co też tam błyskało. Stał chwilę, mocując się z wyrzutami sumienia, ale jakby się tak zastanowić, to co złego by się stało? Jeśli będzie ostrożnie stąpał i sprawdzał, czy grunt jest twardy, to nic nie powinno się stać. Może sobie znaleźć solidny kij, którym by badał drogę przed sobą. A zresztą przy samym jeziorku wczoraj grunt był twardy jak kamień, więc tam na pewno jest bezpiecznie. A w duchy przecież nie wierzy, choć przyjemnie się o nich słucha.

Zanim się na coś zdecydował, usłyszał szelest i kroki, kogoś przedzierającego się przez krzaki.

– Pokrzywy, psiakrew! – dobiegł jego uszu jakiś męski nieznany głos.

Paweł szybko dał nurka w rosnące obok kępy wielkich paproci, sprawdzając mimo woli, czy nie ma tam pokrzyw. Potem ostrożnie wyjrzał, żeby zobaczyć kto idzie. Zobaczył mężczyznę w wieku około trzydziestu lat, ubranego elegancko, co zupełnie nie pasowało do leśnej eskapady. Mężczyzna miał jasne, krótko przystryżone włosy, jasny, letni garnitur, białą koszulę i krawat. Nieznajomy akurat przystanął i oparł się o pień drzewa. Otarł chusteczką spocone czoło i wyjął z kieszeni telefon komórkowy. Wybrał jakiś numer i zaczął rozmowę. Głos miał zirytowany, najwyraźniej coś mu się nie podobało.

– Wezwij pomoc drogową, ośle! Taki samochód załatwiłeś, że się rozkraczył na środku drogi. I to gdzie? W samym środku totalnego zadupia!

Nastąpiła chwila milczenia, podczas której mężczyzna prawdopodobnie wysłuchiwał odpowiedzi drugiej strony. Po chwili znów podjął:

– Co ty nie powiesz?! – wybuchnął ze złością. – Idę już z kilometr w tym upale i nie ma żadnych domów! Nie, nie wiem, gdzie jestem! Mam GPS w komórce, to mnie namierz, do cholery! Co? Dobra, poczekam, ale pośpiesz się!

Z irytacją trzasnął klapką telefonu i zapalił papierosa. Po chwili telefon znów zadzwonił.

– No? Na głowę upadłeś? Wsiadaj w samochód i przyjeżdżaj! Ooooooooo! Ależ cudo!

Ten ostatni okrzyk wyrażał zachwyt i nie odnosił się bynajmniej do rozmówcy.

– Nie do ciebie, kretynie! Muszę kończyć, a ty przyjeżdżaj. Tak, będę czekał – warknął. – Mam towarzystwo. Czego nie rozumiesz? Nieważne, rusz wreszcie tyłek, baranie!

Paweł wyjrzał ostrożnie zza paproci. Był ciekawy, co spowodowało ten niespodziewany zachwyt mężczyzny. Ze

zdziwieniem zobaczył plecy kobiety z długimi włosami sięgającymi pasa. Nie widział jej twarzy, ale sądząc po zachwycie w oczach elegancika, musiała być ładna. Zachowanie mężczyzny zmieniło się diametralnie i rozśmieszyło Pawła. Przeginał się, zaglądał jej w oczy, obejmował ramieniem, usiłował pocałować. Kobieta natomiast stała nieruchomo, jakby te zabiegi nie robiły na niej wrażenia. Po chwili mężczyzna rozłożył pod drzewem marynarkę i oboje usiedli. Ona coś nuciła.

Paweł, trochę zdrętwiały od długiego kucania, uznał, że tamci są na tyle zajęci sobą, że może zmienić pozycję. Ostrożnie zaczął wyprostowywać nogę, powodując szelest zeschniętych liści. Paweł zerknął w stronę pary i zdrętwiał z przerażenia. Mężczyzna chyba w ogóle nic nie usłyszał, kobieta natomiast!... Boże, co za oczy, pomyślał Paweł i znieruchomiał. Kobieta rozglądała się wokół niczym gad, niemal w ogóle nie poruszając głową. Oczy świeciły jej żółtym blaskiem, a źrenice! O, te były najgorsze! Miały kształt elipsy ustawionej pionowo. Uśmiech nie schodził z jej warg, ale Pawłowi przywodził on na myśl krwiożerczą piranię, szykującą się do obiadu. Przeszedł go dreszcz, co spowodowało kolejny szelest suchych liści i zmartwiał, widząc, że gadzie oczy zaczęły się wpatrywać dokładnie w miejsce, w którym siedział. Kobieta uczyniła ruch, jakby zamierzała wstać, ale mężczyzna skorzystał z jej nieuwagi i chwycił za rękę, obsypując ją pocałunkami. Wtedy kobieta znów zwróciła się w jego stronę i coś powiedziała.

Paweł nie usłyszał ani słowa. Nie żałował tego jednak, pragnął bowiem znaleźć się jak najdalej stąd. Poczuł, jak zimny pot spływa mu strumyczkami po plecach. Z trudem powstrzymywał szczykanie zębami. Miał wrażenie, jakby lodowata dłoń ścisnęła jego szamoczące się serce. Gorączkowo myślał, jak się stąd wydostać, zanim ta straszna piękność podejdzie do niego. Był pewien, że wyczuła jego obecność. Bał się, lecz desperacko postanowił wyjrzeć, by zobaczyć, czy para jest na tyle zajęta, że mógłby się niepostrzeżenie oddalić.

Tym razem nie wysunął głowy, lecz ostrożnie rozchylił paprocie. Nadal widział plecy i włosy siedzącej kobiety. Mężczyzna pólleżał, obejmując ją ramieniem i co chwilę coś mówił, ale na tyle cicho, że Paweł nie rozróżniał już słów. Nagle kobieta odwróciła się i spojrzała prosto na Pawła. Chłopak poczuł, jak włosy jeżą mu się na głowie. Ta twarz! Czyste okrucieństwo! Uśmiechnęła się z triumfem, a wargi odsłoniły potwornie ostre zęby. Pochyliła się nad mężczyzną i jednym ruchem odgryzła mu częściowo głowę tak, że ta zwisała do tyłu. Z przodu szyi ziała straszna rana. Wszystko trwało zaledwie ułamki sekund.

Kobieta znów odwróciła się w stronę Pawła, lecz tym razem jej twarz była ledwie widoczna zza spływającej po niej krwi mężczyzny. Przerazenie całkowicie go sparaliżowało. Nie mógł się ruszyć, nawet wtedy, gdy poczuł na nodze strugę gorącego moczu. Wstrząsały nim dreszcze, a umysł zaczął powoli odpływać, by nie popaść w szaleństwo po tym, czego był świadkiem. Przed oczyma chłopca stanęły błogie obrazy z wczesnego dzieciństwa, gdy ktoś go przytulał i okrywał kołderką. Teraz było mu potwornie zimno, trząsał się i słyszał szczekanie czyichś zębów. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że to jego własne zęby.

Z trwogą pomyślał, że to już koniec, ten potwór przebrany za kobietę pewnie zaraz stanie nad nim i też mu odgryzie mu głowę. Umysł chciał znów odpłynąć w bezpieczne wspomnienia, ale instynkt samozachowawczy nakazywał natychmiastową ucieczkę. Musiał się zmobilizować, tyle że to następowało za wolno! Paweł czuł, że siły i czucie w kończynach wracają mu zbyt powoli. O, już słychać nadchodzący od tamtej strony trzask łamanej gałązki i lekkie kroki oraz coś, jakby cichy warkot dobywający się czegoś, co na pewno nie było ludzkim gardłem. Paweł nie sądził, że można bać się jeszcze bardziej niż on przed chwilą, a jednak na ten dźwięk zalała go nowa fala obezwładniającego przerażenia. Wiedział, że nie ma już szans, nie zdoła uciec. Wciąż zaciskał oczy w nadziei, jakby

mógł dzięki temu zniknąć. Wiedział, że to dziecinne, ale nic nie mógł na to poradzić. Mimo że spodziewał się najgorszego, przeżył szok, gdy nagle koścista dłoń zacisnęła się na jego ramieniu. Żołądek podskoczył mu do gardła, zmieniając się w gorącą, bolesną kulę. Wydawało się, że wszystko na moment zamarło w bezruchu.

Sekundę później tę straszliwą ciszę rozdarł dźwięk telefonu komórkowego. Paweł z trudem uniósł głowę i otworzył zaciśnięte dotąd oczy. Zobaczył, że kobieta zawahała się na moment i odwróciła w stronę ciała mężczyzny. Paweł w ostatnim akcie desperacji wyrwał się i wystrzelił z paproci jakby miał turbodoładowanie. Niewiele potem zapamiętał z samej ucieczki, poza tym, że w ręce potwora została część jego koszulki, a on pobił wszelkie rekordy szybkości. Zmordowany i zdyszany dotarł w końcu do domku ciotki.

– Dziecko! Co się stało? Jak ty wyglądasz?

Chłopiec nie był w stanie wykrztusić słowa, więc zaprowadziła go do kuchni, okryła kocem i przygotowała napar z jakichś ziół. Przypilnowała, by je wypił do ostatniej kropli i po chwili przestał się trząść i szczerkać zębami. Uspokoił się na tyle, że mógł opowiedzieć, co mu się przydarzyło. Ciotka wysłuchiwała go w milczeniu, choć widział, jak zacisnęła usta, gdy przyznał się, że mimo jej zakazów poszedł na bagno.

– Czy ty mi wierzysz, ciociu? – zapytał w końcu nieśmiało.

– Wierzę, ci, Pawełku. Ale sam zobacz, do czego prowadzi nieposłuszeństwo – westchnęła. – No cóż, nic tak nie ciągnie jak zakazany owoc.

– Czy ona tu może przyjść? – zapytał i mimo woli zadygotał.

– Nie wiem – ciotka była przygnębiona. – Muszę poradzić się księdza Jankowskiego. Zostań tu chwilkę, ja do niego zadzwonię.

Paweł jednak za nic w świecie nie chciał zostać sam, więc podreptał za ciotką. Przysiadł przy niej na schodku w hallu i przysłuchiwał się rozmowie. Niewiele z niej zrozumiał poza przywitaniem, bo ciotka mówiła krótko i enigmatycznie.

– Chłopiec był tam, ledwo uciekł.

Słuchała przez chwilę w milczeniu, potem powiedziała:

– Złapała go za ramię.

Znów chwila ciszy i w końcu Paweł usłyszał:

– Tak. Czekam.

Odłożyła słuchawkę i zwróciła się do chłopca.

– Jeśli masz jeszcze trochę siły, to pomóż mi zabezpieczyć dom.

Następne pół godziny spędzili, rysując poświęconą kredą krzyże na wszystkich oknach, drzwiach i ścianach. Ciotka weszła nawet na dach i namalowała krzyż także na kominie. Potem we wszystkich otworach wieszali wiązki suszonego piołunu i główki czosnku, choć słyszał, jak ciotka mruczała do siebie, że to strata czasu. Gdy ją o to zapytał, odburknęła:

– Nie wiem, czy to coś pomoże, ale strzeżonego pan Bóg strzeże.

Z tym akurat się zgadzał i już z własnej inicjatywy zawiesił nad drzwiami wejściowymi różaniec i poumieszczał w oknach obrazki ze świętymi, które znalazł w modlitewniku. Ciotka skrzywiła się, ale nic nie powiedziała. Po kwadransie usłyszeli prychający samochód i w progu stanął proboszcz.

– Pochwalony! – zagrzemiał na powitanie, a jego wielka, barczysta postać wypełniła całe drzwi. Musiał się pochylić, by nie zawadzić głową o futrynę. Paweł na jego widok nabrał otuchy. – Przywiozłem wodę święconą – i machnął pięciolitrowym

baniakiem, jakby ten nic nie ważył. – Masz spryskiwacz? Tak będzie szybciej.

Ciotka skinęła głową i poszperała w szafie. Wyjęła dwie butelki z płynem do mycia szyb, których zawartość przelała do słoików. Starannie opłukała butelki, a ksiądz napełnił je wodą święconą.

– Idź z księdzem połać wszystko wodą święconą, a ja przygotuję coś do jedzenia.

– Tak, pospieszmy się chłopcze – powiedział ksiądz – bo niedługo słońce zajdzie. Noc może być długa. Przy okazji opowiesz mi, co widziałeś.

Paweł posłusznie ruszył za proboszczem, który mimo starszego wieku sprawiał wrażenie kolosa. Gdyby nie koloratka, Paweł nigdy by nie odgadł, że jest księdzem, tak potężnie był zbudowany i umięśniony. Bardziej wyglądał na kowala niż proboszcza. Paweł musiał wysoko zadzierać głowę, by na niego spojrzeć. Ksiądz, jakby się domyślając, o czym chłopak myśli, powiedział, mrugając okiem:

– Mam tylko metr dziewięćdziesiąt pięć wzrostu. Do dwóch metrów brakuje całych pięciu centymetrów.

– Ale podeszwy mają chyba ze trzy – wypalił bez namysłu Paweł i zawstydził się zuchwalstwa. Ksiądz jednak wybuchnął gromkim śmiechem:

– Podobasz mi się, chłopcze! Masz głowę na karku. No i chyba będziesz dobry z matematyki. A teraz do roboty!

Spryskali wodą święconą cały budynek, także kurnik i szopę. Po chwili namysłu ksiądz pokropił też własny samochód.

– Żeby stwora się tam nie ukryła – wyjaśnił, widząc pytające spojrzenie chłopca.

– Ksiądz mi wierzy?

– Dlaczego nie? Nie ty pierwszy ją widziałeś.

– Nie?!

– Ano nie. Nie ma co się wstydzić, każdy jeden uciekał, aż się kurzyło. Ja także, nie przymierzając. Jakbyś, bratku, nie wziął nóg za pas, to byś teraz jak nic leżał bez głowy na dnie bagna.

– Ale czemu nikt o tym nie mówi? Tego potwora trzeba zabić!

– Pewnie – ksiądz obojętnie wzruszył ramionami – tylko nie wiadomo, jak. Próbowali jeszcze nasi dziadowie i nic. Rusałka chyba jest nieśmiertelna i jedyne, co można zrobić, to ją odstraszyć, ale zabić nie udało się nikomu. Nawet jak ją fest oblali wodą święconą, to choć skwierczała jak indyk na rożnie, nie zginęła. Przyczaiła się wtedy na dłuższy czas w bagnie. Pewnie rany lizała, ale potem i tak wyszła na świat. No i zemściła się strasznie. Zabiła wszystkich, którzy próbowali ją zgładzić. Na jednego długo czekała, bo bardzo się pilnował, ale w końcu i jego dostała.

– Jak? Przecież nie musiał iść na bagna?

– I nie chodził. Ale kiedyś zwabiła tam jego małą córeczkę. Pobiegł ją ratować.

– I co, uratował?

– Tak, ona żyje do tej pory. On nie.

– A kto to jest? Ta córeczka? Chyba już dorosła?

– Nie wiesz? To przecież twoja ciotka...

Pawła замуrowało. Zerknął na księdza, by sprawdzić, czy ten z niego nie żartuje, ale nie znalazł śladu uśmiechu na zamyślonej twarzy olbrzyma. Coś go jednak zastanowiło.

– Proszę księdza – zaczął niepewnie.

– No, co tam?

– Wyszło mi na to, że ten potwór grasuje tylko na bagnie. Dlaczego więc zabezpieczamy dom?

Ksiądz westchnął ciężko.

– Chodź, wezmę z bagażnika drugi baniak z wodą święconą i wrócimy już do domu. To nie taka prosta sprawa. No dobrze, opowiem ci, ale krótko, bo nie chcę, żeby Klementyna słyszała. I tak, biedaczka, o niczym innym pewnie nie myśli. Jeszcze od naszych przodków wiemy, że jeśli potwora kogoś dotknie, to zyskuje nad nim władzę. Nawet gdy ucieknie, ona może go ponownie zwabić na bagna lub nawet porwać z domu. Chyba że dom zabezpieczy tak, jak my to zrobiliśmy. Sam musi ciągle przy sobie wodę święconą nosić. To potworę odstrasza, ale wystarczy chwila nieuwagi i już po nim. Jej niestraszne światło dnia. Poluje, gdy zgłodnieje, o każdej porze. Na szczęście natura zadbała, żeby jedna ofiara na długo jej starczyła. Głodu nie poczuje przez kilka miesięcy. Chyba że sama chce kogoś dopaść, na przykład z zemsty. Nie wiem, jak ciebie potraktuje, może uzna, że nie stanowią zagrożenia.

– Jedyne wyjątek – ciągnął po chwili milczenia ksiądz – stanowi Klementyna. Nie wiadomo czemu, ale jej nigdy nie nachodziła. Osobiście podejrzewam, że małą uratowała czysta, niewinna dusza, żadnym jeszcze grzechem niesplamiona, bo Klementynka miała wtedy zaledwie trzy lata. Sądzę, że do tej pory niczym nie zgrzeszyła, całe życie pomaga innym. Ale pewności nie mam.

– A czym jest ten potwór?

– Tego, synku, nie wiem. Jedni nazywają ją rusałką, inni wodnicą lub upiorycą.

– To jak sobie poradzimy?

– Uczciwie mówiąc, nie wiem. Dotknęła cię, więc ma nad tobą

moc. Jakiś grzech już popełniłeś, choćby nieposłuszeństwa, więc według mnie ochrony nie masz. Ale może ona po ciebie nie przyjdzie, bo już się najadła. Ale nawet jeśli dziś nic się nie wydarzy, to i tak będzie lepiej, gdy jutro wyjedziesz. Rozumiesz to, chłopcze?

– Tak, proszę księdza.

Paweł z ulgą przekroczył próg domu, którego wewnątrz jaśniało od włączonych świateł. W kuchni wesoło trzaskał ogień. Na dworze zapadał zmrok. Mimo zmęczenia, chłopiec nie chciał iść do łóżka, bo bał się zostać sam. Dorośli nie protestowali i przygotowali mu z kołdry i koców legowisko w kuchni. Zaraz potem zasnął jak kłoda.

Męczyły go różne sny. Całą noc słyszał jakieś postukiwania, sapanie, szuranie i szelesty. Wciąż mu się wydawało, że lada chwila potwór złapie go za rękę lub nogę i wywlecze z bezpiecznego domku ciotki. Rzucał się na posłaniu zlany potem, lecz się nie obudził. Dopiero gdy świt zaczął zaglądać w okna, chłopiec otworzył oczy. Ciotka i ksiądz spali głęboko, każde w swoim fotelu.

Poszedł do łazienki i dopiero wtedy uzmysłowił sobie, że w nocy coś musiało się jednak coś dziać, bo cały korytarz zalany był wodą, a drzwi wejściowe popękały, jakby ktoś w nie uderzał taranem. Biegiem wrócił do kuchni. Ciotka i ksiądz właśnie się obudzili. Widać było, że są zmęczeni, ale uśmiechnęli się do niego, napełniając jego serce otuchą.

– No, kawalerze, wielka bitwa była o ciebie, ale już chyba koniec – powiedział proboszcz, przeciągając się aż trzeszczały stawy.

– Ale musisz jeszcze dziś wyjechać, najlepiej do ojca, do Francji – powiedziała ciotka. – Zaraz z nim porozmawiam.

Paweł nigdy nie dowiedział się, jakich ciotka użyła argumentów, ale ojciec przyleciał do Polski jeszcze tego

samego dnia. Zabrał Pawła i po dwóch dniach byli już na Riwierze. Paweł nigdy już nie pojechał na wakacje do ciotki. Na początku bardzo za nią tęsknił, ale rodzice powiedzieli mu, że ciotka zachorowała. Później przyzwyczał się do tego, że już tam nie jeździ, zajął się nauką, sportem i dziewczynami. Poszedł w Polsce na studia, zrobił dyplom inżyniera i wyjechał na kilka lat za granicę. Tam pogłębił wiedzę, zdobywając doświadczenie i... żonę.

O wsi, w której mieszkała ciotka, wrócił równo po trzydziestu latach. Na jej pogrzeb. Proboszcz też już nie żył. Paweł rozpoznał na cmentarzu zaledwie kilka osób, w tym gospodynię proboszcza i kowala. Nie pamiętał wydarzeń, które poprzedzały jego nagły wyjazd tamtego lata. Czasem tylko coś mu się śniło. Wszystko było tak dawno temu! Nie mógł sobie nawet przypomnieć, dlaczego tak nagle wtedy wyjechał. Ach tak, matka mówiła mu, że dostał zapalenia opon mózgowych od ukąszenia kleszcza i trzeba go było zabrać do szpitala. Potem pojechał od razu do ojca, a wkrótce zachorowała ciotka i nie mógł już do niej jeździć na wakacje. Zdaje się, że matka wynajęła na stałe pielęgniarkę, która się nią zajmowała.

Zaraz po pogrzebie Paweł musiał wyjechać, zamieniając tylko kilka grzecznościowych słów z ludźmi, którzy go pamiętali sprzed lat. Ale w następnym roku spotkał inwestora, który był zainteresowany wybudowaniem we wsi ciotki ośrodka wypoczynkowego połączonego ze SPA. Podobno okazało się, że miejscowe bagno ma znakomite właściwości lecznicze i można zbić fortunę, używając go do kąpieli, okładów i produkcji preparatów kosmetycznych.

Pomysł bardzo się spodobał Pawłowi, dlatego zgodził się przyjąć obowiązki dyrektora budowy. I tak, gdy wszystkie formalności zostały w końcu załatwione, baraki dla robotników postawione, przyjechał do wsi. Właśnie kończono osuszanie niedużego fragmentu bagna, by mogły tam stanąć budynki zabiegowe i baseny.

Paweł wysiadł z samochodu na skraju placu przyszłej budowy i nałożył kask. Myślał właśnie o żonie, która została we Francji. Była w zaawansowanej ciąży i Paweł wołał, by do porodu mieszkała u rodziców, zamiast narażać się na niewygody podróży. Czuł się świetnie na myśl, że niedługo zostanie ojcem. Szedł pogwizdując i kopiąc mały kamyk, gdy na drogę przed nim wypadł blady jak chusta robotnik.

– Hej! – zawołał Paweł, ale ku jego oburzeniu mężczyzna nawet nie zwolnił i po chwili nie było po nim śladu.

Przyspieszył więc kroku i wkrótce zobaczył, co tak przeraziło robotnika. Przed nim rozciągał się wykop przygotowywany pod fundamenty. Z ziemi wyłaniały się ludzkie szkielety. Musiało ich być mnóstwo, przynajmniej kilkadziesiąt. Co ciekawe, żaden z nich nie miał głowy. Czaszki wały się osobno trochę dalej. Wokół nikogo nie było, jakby całą ekipę robotników wywiało. Tylko jakiś dziwny szelest dobiegał z pobliskich krzewów.

Autor: Aneta Ponomarenko

Źródło: [Czytelnia Baśnie.pl](http://Czytelnia.Baśnie.pl)